1923 r. SIERPIEŃ № 15.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redakcja: Szpitalna 1. **Administracja" Szpitalna 12. Warszawa.**

WARSZAWA — POZNAŃ.



Zwierzostan Pamiru.

(*Dalszy ciąg*).

Przytoczę jeszcze jeden przykład niezwykłej zmyślności niedźwiedzia.

Na Pamirze przebywa wielka ilość świstaków. Jest to zwierzę wielkości niedużego zająca, ale bez porównania szersze i tłuściejsze. Szerść ciemno-brunatna na grzbiecie, jaśniejsza z boków, prawie biała na brzuchu. Głowa składem podobna do zajęczej — na przodzie ogromne zęby, przez które wydaje przeraźliwy świst. Żyje korzonkami roślin, mieszka w norach pod ziemią wielkiemi rodzinami. Świstaków taka moc i robią taką ilość nor, że stanowią prawdziwą plagę dla koni, które często zapadają się w nory świstaków, kalecząc się dotkliwie. Świstaki ciągle żerują, ale ponieważ stanowią łakomą zdobycz dla rozmaitych zwierząt i drapieżnego ptactwa, więc się stale strzegą i, w razie niebezpieczeństwa, strażujący świstak przeraźliwym świstem alarmuje całą rodzinę, która pędem leci do nory i chowa się pod ziemię. Nory są fałszywe, idące nie głęboko i nie mające połączenia z drugiemi norami, i głębokie, idące galerjami pod ziemią aż do najgłębszych warstw, gdzie świstaki zimują, śpiąc w ciągu 7 miesięcy.

Idąc razu pewnego przez dolinę Wielkiego Pamiru na południe, w stronę Hindukusza, zobaczyłem, że wszystkie rodziny świstaków zmykają do nor z przeraźliwym świstem. Domyśliłem się, że idzie jakiś duży zwierz, którego się boją i natychmiast przypadłem za najbliższą skałą, pilnie obserwując okolicę. Po chwili zobaczyłem niedźwiedzia, który wyłonił się z jednej z bocznych wyrw i idąc leniwym kłusem, zbliżał się do mnie, starannie obwąchując nory świstaków i jakby badając teren. Potem zatrzymał się na łagodnem wzgórzu o jakie 150 — 200 kroków odemnie, obwąchał nory, wsunął pysk do jednej z nich, silnie prychnął i począł łapami rozgrzebywać ziemię daleko za siebie. Widząc, że niedźwiedź był głodny i spuścił się z gór na polowanie na świstaki, z zapartym oddechem obserwowałem, jak się upora z tem zadaniem. Misio pracował sumiennie i od czasu do czasu hukał do nory, jakby starając się zapędzić świstaki do najgłębszej galerji, żeby nie uciekły bocznem przejściem. Nagle zatrzymał się. Mruczał, kiwał głową, widocznie nie wiedząc, co dalej robić. Okazało się, że natknął się na dość znaczny odłam skały, który utkwił w miękkim pagórku i pod którym szła nora. Po chwili namysłu począł odgrzebywać ziemię około kamienia, a kiedy głaz się wyłonił, oparł się grzbietem o kamień, a czterema łapami o zbocza jamy, i huśtając się i naciskając grzbietem kamień, starał się wyswobodzić go z ziemi. Praca to była bardzo trudna i męcząca. Niedźwiedź przerywał ją, chwilę odpoczywał i znowuż z niesłychanym uporem poczynał. Nakoniec kamień stoczył się na dół jamy, skąd go niedźwiedź z wielkim wysiłkiem wyrzucił. Teraz już praca poszła żwawo. Niedźwiedź prawie cały zanurzył się w wykopanej jamie, a wkrótce usłyszałem krzyk mordowanych świstaków. Nie strzelałem, bo z zasady nie traciłem drogich w tych warunkach ładunków, bez korzyści albo gwałtownej potrzeby. Mięsa nie potrzebowaliśmy, przytem ludzie brzydzili się niedźwiedziem i nie jedli; skóra zaś także była do niczego, gdyż był to środek gorącego lata i niedźwiedź liniał.

W dwa lata później omal nie zginąłem od niedźwiedzia. Było to jesienią. Na Pamirze spadły śniegi, a że tam paliwa, jak mówiłem, oprócz pomiotu niema, nastała bieda.

Poszliśmy przez Dangnyn Basz Pamir w dolinę Iły-su (ciepłe wody), gdzie rosło dużo drzewa żeby się wygrzać, odpocząć i przyprowadzić do porządku dzienniki i zdjęcia topograficzne. — Przełęcz z Dangnyn Basza na Iły-su okazała się zawaloną śniegiem, konie zapadały po brzuch i nie były w stanie podnieść na górę ciężkich juków. Posłałem krajowca z 2 kozakami do najbliższego aułu, żeby nająć jaki, które powoli, ale pewnie podnoszą się na strome góry, a sam piechotą wdrapałem się na przełęcz i określiłem wysokość jej za pomocą amneroidu i hipsotermometru dzięki wrzącej wodzie. Okazało się 16.200 st. n. p. m. Na południowej stronie przełęczy zupełnie śniegu nie było. Słońce prażyło. Spuściłem się trochę na dół, żeby uchronić się od przejmującego wiatru i wyczerpany trudnem wspinaniem się na przełęcz, usiadłem na zboczu w słońcu na ścieżce, wydeptanej przez dzikiego zwierza. Nogi opuściłem na dół. Czy zasnąłem, czy tylko zdrzemnąłem się chwilowo, przygrzany słońcem — nie wiem. Ocknąłem się pod wrażeniem, że się na mnie z góry toczy żwir i drobne kamyki. Podniósłszy głowę, skoczyłem na równe nogi. Po drugiej ścieżce nademną, o jakie 25 — 30 kroków, szedł powoli niedźwiedź, podnosząc się do góry. Zobaczywszy mnie, na sekundę zatrzymał się, ale wnet podniósł się na tylne łapy i ruszył przeciwko mnie. Strzelać było bardzo niewygodnie, gdyż niedźwiedź był już wprost nademną i nawet zabity, padając, mógł mnie strącić w przepaść; ale nie miałem chwili do stracenia. Złożyłem się do strzału i dałem ognia z dwóch luf, prawie jednocześnie, mierząc w pierś białą, jak w tarczę.

Niedźwiedź zachwiał się, runął na dół, koziołkując się przez głowę. Założywszy ładunki, odetchnąłem swobodnie i poszedłem na przełęcz,

szukać swoich ludzi, dając sobie słowo nie zasypiać na słońcu samotnie.

Karawana moja na jakach, prowadząc konie luzem, podniosła się na przełęcz dopiero po południu, tak, że o zmroku spuściliśmy się z przełęczy w dolinę, gdzie znaleźliśmy zabitego niedźwiedzia. Ze skóry jego zrobiłem sobie worek do spania, który mi przydał się zimą w Tybecie.

(C. d. n.) *Gen. Bronisław Grąbczewski.*

Ku indyjskiej rubieży.

(*Ciąg dalszy*)

VI. Tygrys.

Wieczorem w obozie, rozbitym nad rzeką niedaleko ostatniego miotu, zapłonęły jasne ogniska, nad któremi kozacy piekli pieczeń z dzika, twardą i żylastą, ale witaną z radością przez zgłodniałych myśliwców.

Noc zapadła ciemna, księżyc miał się ukazać dopiero po północy. Roje gwiazd zabłysły na wysokiej, czarnej jak aksamit kopule nieba. Oparty o karabiny wartownik stał, cały oblany jaskrawą łuną ognia, podczas gdy reszta roztasowała się wkoło, wypoczywając po całodziennym trudzie. Trzask ognia głuszył odgłosy dżungli. Nie czułem wcale dzikości i bezludności tego zakątka.

Gdym się zbudził z mocnego snu, księżyc chylił się ku zachodowi. Trzykrotnie zmieniana warta drzemała, siedząc przy dogasającym ogniu, a od rzeki szedł świeży powiew, zwiastun niedalekiego świtania. Obudził się też Bilkiewicz, pokrzepiony dziewięcio-godzinnym snem i leżeliśmy, wsłuchując się w milczeniu w ciszę przedświtu.

Wtem głośny, choć daleki trzask trzciny zwrócił naszą uwagę, a w tejże chwili z głębi dżungli przypłynął głos dziwny, przeciągły, napoły żałosny, napoły gniewny, niby wymówione przez nos ostro, a rozciągłe zgłoski „piauchh“.

Bilkiewicz schwycił mię za rękę, a Niaz, śpiący czujnym snem dzikiego myśliwca, zerwał się na równe nogi.

— Szejr! — wyszeptał, zwracając głowę ku ciemnej tajemniczej ścianie trzcin.

Po chwili trzask powtórzył się znów i rozległ się kwik przeraźliwy, podobny do głosu zarzynanej świni, który przejmującą grozą napełnił cienie nocne.

— Poluje, — szeptem rzekł Bilkiewicz. — Za pierwszym razem chybił, ale następna sztuka trafiła do jego szatańskich pazurów.

— Szejr zjeść dzika i spać blisko! rzekł Niaz, zwracając się do nas, poczem jeszcze raz wpatrzył się w ciemności, jakby chciał zapamiętać dokładnie kierunek słyszanych głosów.

Świt nadchodził, bladły już gwiazdy, lekki powiew wiatru rósł co chwila i szemrał w czubach trzcin, pochylających świecące siwym szronem kiście pod jego miękkiem dotknięciem.

Niaz ze zdobycznym karabinem w ręku znikł z Czajanem w trzcinach i skierował swe kroki ku miejscu nocnej tragedji.

Po godzinie wrócił, oznajmiając, że znalazł napoły pożartego dzika i tropy tygrysa, idące na północ. Sądząc z tego, że zwierz najadł się bardzo, należało przypuszczać, że położył się niedaleko, zwłaszcza, że świt zastał go jeszcze przy uczcie.

Zdania co do sposobu polowania na krwiożerczą bestję były podzielone. Niaz radził, aby polegając na sprycie i węchu Czajana, iść tropem i jak najciszej podejść do śpiącego zapewne mocno, najedzonego zwierza. Bilkiewicz jednak twierdził, że przy trzeszczącej trzcinie zwierz, leżący napewno w gęstwinie, nie dopuści tropiących myśliwych. Mnie jednak projekt Niaza przypadł nadzwyczaj do gustu, więc postanowiliśmy połączyć oba polowania razem.

Sześciu więc kozaków, Bilkiewicz i Siergiej mieli tworzyć linję strzelców, a my dwaj z Niazem, idąc po tropach, stanowiliśmy nagankę.

Opuściliśmy więc obóz, zostawiając suszące się w cieniu drzew skóry wczorajszych łupów, i Niaz poprowadził nas wprost na miejsce tygrysiej uczty.

W niezbyt gęstej trzcinie, na brzegu strumienia, tworzącego rzadko zarosłe bagienko, leżał roczny dzik, pożarty do połowy, ze śladami potężnych pazurów na karku i złamanym kręgosłupem.

Myśliwi poszli dalej, zataczając wielkie półkole, aby w odległości paru kilometrów przeciąć szeroko rozpiętą linją drogę spłoszonemu tygrysowi.

W godzinę później wyruszyliśmy i my, a Niaz spuścił ze smyczy Czajana, który obwąchiwał ze zjeżoną szerścią i błyszczącemi zajadłością oczami liczne tropy przy zabitym dziku.

Pies trafił odrazu na trop i chciał rzucić się ostro naprzód, ale przywołany cichym gwizdem, powrócił do nogi i szedł wolno, prowadząc nas za sobą.

Przeszliśmy przez rozlewne bagnisko i zapuściliśmy się znów w gęste trzciny. Szerść na karku Czajana jeżyła się ciągle, płuca wciągały gwałtownie powietrze przez delikatne, czułe nad wyraz nozdrza i dzielny pies szedł bez wahania naprzód. Tuż za nim przedzieraliśmy się obaj z trudnością przez zbitą i poplątaną gęstwinę, ramię przy ramieniu, z bronią gotową do natychmiastowego strzału.

Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z niebezpieczeństw i przejawialo się to w napiętych nerwach, czułym na najmniejsze zewnętrzne oznaki. Szliśmy i szliśmy, dłużyła się nieskończona droga przez skwarną dżunglę, niecierpliwość ogarniała mię mimowoli i nieznośne zdenerwowanie.

Wtem pojaśniało coś przed nami i wyszliśmy na otwartsze miejsce w pobliżu stojącego na czatach kozaka, który wytknął już w naszym kierunku lufę karabinu i zbaraniał kompletnie, ujrzawszy nasze twarze zamiast groźnej głowy tygrysiej.

Bilkiewicz rozstawił linję strzelców doskonale, niestety jednak zwierz już ją uprzednio minął. Zeszli się strzelcy, uciszając swe głosy na milczące skinienie Bilkiewicza.

— Nie leżał tu, to będzie leżał tam, — rzekł, wskazując dalsze trzciny. — Jazda dalej! Chyba i rzeka gdzieś niedaleko.

Znów pozostaliśmy z Niazem, a po godzinie ruszyliśmy dalej. Znów przedzieraliśmy się przez gąszcze, aż wreszcie wyszliśmy na brzeg rzeki. Tu trop skręcał na lewo i wracał do gęstwiny, a na samem wybrzeżu dostrzegliśmy liczne ślady nóg ludzkich.

— To dobrze, — rzekł Niaz, — nasi myśliwi poszli tam i staną wpoprzek do rzeki. On tu gdzieś musi leżeć.

Trzciny zakryły widok na wodę, od której oddalaliśmy się teraz na ukos. W kilku miejscach trop zaczął się plątać, jakby kołował, zawracał i znów w obranym kierunku podążał.

Spojrzeliśmy porozumiewawczo na siebie, a ręce mocniej jeszcze wpiły się w szyjkę broni.

A wtem Czajan, który szedł wciąż, węsząc w trawie, wyprostował się i, zwracając głowę na lewo, pociągnął równo w bok, jeżąc jeszcze silniej grzywę na grzbiecie, a w tej samej chwili doleciało nas z gęstwiny głuche mruczenie.

Jeszcze moment, w trzcinie zatrzeszczały suche źdźbła i mignęło płowe podłużne cielsko.

Błyskawicznym ruchem podrzuciłem broń i wypaliłem, nie widząc dobrze celu przez trzciny.

Niaz stał z karabinem, gotowym do strzału, opierając się mocno na rozkraczonych nogach, ja też ze strzelbą u oka czekałem nieruchomo, a Czajan ze stulonym ogonem cisnął się do nóg pana, drżąc na całem ciele.

Minęła chwila oczekiwania, rozjuszony zwierz nie wypadał z kryjówki, więc posunęliśmy się nieco naprzód, gdy wtem daleko, głuchym, jakby z pod ziemi, odgłosem zahuczał strzał, potem drugi, trzeci i czwarty.

— Już jest na linji, — szepnął Niaz i skoczył naprzód. Jakby te strzały magiczne rozluźniły jakąś napiętą we mnie sprężynę, odetchnąłem głębiej i podążyłem za mym towarzyszem.

— Ot, gdzie leżał! — wskazał tadżik na koliste, wygniecione w trawie miejsce w największej gęstwinie trzcin i krzaków z nawisłemi nizko gałęźmi pnączów.

— Tak, — odrzekłem, — wygodne miejsce wybrał: widać stąd dobrze jego uprzednią drogę, tak że leżąc, mógł tu zawczasu zauważyć każdego, ktoby szedł tropem.

— Taki to już tygrysi zwyczaj i gdyby nie pies, nie widzielibyśmy go nawet, wymknąłby się pocichu i tyle.

Tymczasem znaleźliśmy się już na miejscu mego strzału i Niaz, schylając się, podniósł mały kłaczek obciętej niby nożyczkami szerści, żółtawej i białej.

— Kula trafiła, — rzekł, — ale w słabiznę i za nizko, ot te białe włoski rosną na brzuchu.

Kierowaliśmy się w prostym kierunku na linję strzałów i po upływie pół godziny doszedł naszych uszów szmer licznych głosów.

Na trawiastej haliźnie stała grupa ludzi, a koło nich, rozciągnięty w trawie, leżał zbroczony krwią wspaniały tygrys, błyskając śnieżnemi kłami z pod zaciśniętych kurczowo warg.

Był to samiec dużych rozmiarów o pięknych siwych bokobrodach i ciemnych, lśniących pręgach, typu przejściowego między właściwym turańskim czyli perskim tygrysem, a indyjskim.

Wyszedł on na drugiego od końca kozaka, który strzelił do niego dwa razy, potem skręcił w bok i, zwalniając mocno tempa, widać silnie strzelony, minął następnego strzelca, Bazyla. Ten wpakował mu, idącemu już krokiem, kulę na łopatkę, a dobił drugim strzałem za ucho. Trzy kule dostał nieborak, prócz mojej pierwszej, która utkwiła, rozrywając się na drobne kawałki, w dolnym brzuchu.

Tak padł pierwszy nasz tygrys, potężny władca dżungli, dziki i okrutny szejr.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.)

JAK Z WŁADKA WYRÓSŁ MYŚLIWY.

(Wspomnienie dzieciństwa)

I. Tyrolka.

Władek był zupełnie z siebie zadowolony— przedewszystkiem wrócił z Chyrowa, gdzie złożył egzamin wstępny do pierwszej klasy i dostał granatowy mundur z długiemi spodniami.

Nie to tylko sprawiało, że Władek dzisiaj był szczęśliwy... Kupił za oszczędzone centy w miasteczku kilkadziesiąt kapsli i wyprosił sobie od ojca „Tyrolkę". Tatuś był jakoś w dobrym humorze i pozwolił. Uszczęśliwiony chłopak wyciągnął ją z za pieca w kancelarji i niosąc przed sobą, jak sakrament, poszedł do parku między lipy, żeby przedewszystkiem skarb swój dokładnie obejrzeć.

Cudna to była strzelba: o jednej lufie o dziwnie wygiętem łożu i haftowanym ręcznie w zielone krzyżyki pasie. Nie strzelał z niej nikt nigdy, tak jak nikt we dworze nie wiedział dlaczego się nazywała „Tyrolką". Od niepamiętnych czasów stała za piecem w kancelarji, stanowiąc cel wszystkich marzeń Władka. Mój Boże, żeby to mieć taką strzelbę.

Władek był myśliwym od najmłodszych lat— z początku broń jego stanowiła proca, we władaniu którą doszedł do znacznej wprawy, będąc postrachem wszystkich psów i kotów we wsi. Kiedy jednak, strzelając do wrony na dachu, wybił okno pannie Zofji, proca uległa konfiskacie i Władek musiał przez dwie godziny pisać kaligrafję, co było najsroższą karą. Wrodzony temperament i filozofja życiowa, która mówiła, że właściwie upiekło mu się, bo w złej godzinie mógłby za to nieszczęsne okno jeszcze więcej oberwać, pocieszyły go rychło po stracie umiłowanej broni. Żyłka myśliwska jednak nie zagasła, podsycana ciągle Robinsonem, Duchem puszczy, Królem wężów i innemi opowiadaniami, których bohaterowie trafiali zwierza zawsze w lewe oko, żeby skóry nie zepsuć i na 300 kroków w galopie przecinali sznurek, wiążący przyjaciela do drzewa kulą. To byli myśliwi! To byli strzelcy!

W parku roiło się od zwierzyny grubszej i pospolitszej. Nie mówiąc już o wróblach, które ostatecznie można było w śpichlerzu na pszenicę łapać, wron i kawek gnieździło się po starych lipach mnóstwo, a kruki przylatywały także często. Na stawie było kaczek i kurek poddostatkiem, a w ogrodzie warzywnym widział raz Władek na własne oczy zająca! Jakich to czynów możnaby dokonać, gdyby tak człowiek miał jakąś broń!

Z dzirytem nie szło tak łatwo, jakby sobie można wyobrazić — trudno go było rzucić dalej, jak na trzydzieści kroków, a trafić jeszcze trudniej. Próby z bumerangiem doprowadziły tylko do potłuczenia szyb w inspektach, wielkiej awantury z ogrodnikiem, dwu godzin kaligrafji od panny Zofji i solennej obietnicy „zerżnięcia skóry" od ojca. Z łukiem szło łatwiej trochę, po pewnym czasie miał już Władek na sumieniu dwa wróble, które trafił strzelając w gromadkę, zwabioną chytrze do rozsypanego pośladu. To wszystko było jednak zamało dla jego wygórowanych ambicji. Marzeniem była i pozostała „Tyrolka".

Nie ominął żadnej sposobności, żeby nie wejść do kancelarji ojca i godzinami całemi przypatrywać się wiszącej na ścianie broni, której dotknięcie zakazane było pod karą „rżnięcia". Normalnie wśród tej cichej kontemplacji dowiadywał się, że plącze się bez zajęcia i doczekiwał się pytania, na które zasadniczo odpowiadać nie lubił: „Czy lekcje na jutro zrobione?" Pod taką presją ulatniał się chłopak, unosząc w sercu żal i gorycz do całego świata. Bo że mu tatuś nie chce dać żadnej z tych ślicznych strzelb ze ściany, to jasne, ale co tatusiowi po „Tyrolce"? Stoi za piecem, nikt z niej nie strzela, nawet jak gajowemu Jaśkowi strzelbę rozerwało, to mu tatuś „Tyrolki" dać nie chciał, „bo to stary grat do niczego".

O, przydałaby się! Z taką strzelbą to i do lasu możnaby pójść na prawdziwe polowanie. A Jasiek opowiadał, że pod lasem jest taka łączka, na której wieczorem sarny jak psy chodzą, a zajęcy to i zliczyć nie można... Kilka razy proponował tatusiowi, że wyczyści „Tyrolkę", która się za piecem tylko niszczy, ale doczekał się zawsze odpowiedzi: „Pilnuj no ty swego nosa, a nie „Tyrolki", urwiszu. Mówiła mi panna Zofja, że dzisiaj znowu rachunków nie zrobiłeś." Tak, jakby rachunki miały co wspólnego z „Tyrolką," — a ta panna Zofja, to także ziółko — co się tylko stanie, to zaraz leci z językiem.

Przyszedł wreszcie Rubikon: egzamin wstępny do gimnazjum przyniósł chlubę pannie Zofji, a długie spodnie Władkowi. Ojciec dumny z syna, nie był w stanie niczego mu odmówić, więc Władek skorzystał z pierwszej sposobności, żeby wyprosić „Tyrolkę" do strzelania kapslami.

Wyniósłszy ją do ogrodu, zabrał się Władek przedewszystkiem do tego, aby strzelbie dawną przywrócić świetność.

Ciężka to była sprawa, ale przy pomocy cegły i ścierki, której potem Marysia cały dzień szukała (jakie te baby głupie, to strach, — o byle drobiazg robić taki hałas!) jakoś to poszło. Później dołożył wszelkich starań, aby się zapoznać z konstrukcją swej nowej przyjaciółki. Kurek się zacinał przy ściąganiu cyngla, ale za to czasem

sam spadał, kominek był trochę rozklepany, a dziurka zupełnie zatkana, lecz temu się dało za pomocą igły i młotka łatwo zaradzić. Żeby uspokoić opinję publiczną, kłapnął parę razy z kapsli i zrzuciwszy, ku zdziwieniu wszystkich, nowe długie spodnie, a ubrawszy się w stare, z biciem serca czekał wieczoru.

Boć przecie nie na to wyprosił „Tyrolkę“, żeby z kapsli z niej strzelać. Plan przedsięwzięcia był zupełnie prosty: po obiedzie przyjdzie ksiądz proboszcz, jak zwykle na kawę, a pewnie przyjadą także państwo Adolfowie z sąsiedztwa. Panowie siądą do wista na werandzie, mama z panią Adolfową i z panną Zofją będą rozmawiać, niania będzie miała kłopot ze Staszkiem i z Franką, a tymczasem przez park będzie można pobiedz do Jaśka pod las. Jasiek wie wszystko,—a strzela jak Duch puszczy — w zimie zabił wilka, a w jesień to codzień przynosi zające albo kuropatwy. Strasznie się zdziwi, jak zobaczy Władka ze strzelbą.

Wszystko poszło jak z płatka i Władek, zaopatrzywszy się w prezent dla Jaśka — trochę to ciężko poszło, bo Tatuś ma zawsze tytoń koło siebie—pobiegł ścieżką wiodącą do gajówki. Jasiek siedział przed chałupą i palił fajkę z filozoficznym spokojem i artystyczną biegłością plując przed siebie.

— Hoho! a to panicz ma już strzelbę!

— A mam. Tyrolkę! Prawda, że to doskonała strzelba?

— Doskonała to nie wiem czy ona jest, ale strzelić, to z niej strzeli—skonstatował fachowiec, oglądając śmiercionośne narzędzie na wszystkie strony.

— Mój Jaśku, bo ja bym chciał pójść na polowanie, a nie mam prochu ani kul!...

— A to wielmożny pan nie dali prochu? To jakże, to może panicz tylko tak strzelbę sobie z za pieca wyciągnął ukradkiem, a mnie potem bieda będzie.

Zakląwszy się na najświętsze słowo honoru, że naprawdę strzelbę od ojca dostał, usiłował Władek przekonać Jaśka, że tatuś ma gości i dlatego tylko o prochu zapomniał. Jakoś nie bardzo chciał Jasiek temu wierzyć, ale tytoń rozproszył wątpliwości, a zresztą lubił panicza okrutnie, „bo to takie ciekawe do wszystkiego“.

Pomruczawszy więc trochę, „żeby potem na niego nie było“, wziął kij z kąta, blachę z kołka, poczem wyszedł z Władkiem przed zagrodę.

— Gdzie pójdziemy, paniczu?

— Alboż ja wiem, Jaśku? Na polowanie.

— Tuż pod lasem chodzi stary cap, ale wielmożny pan odkazował, żeby nie strzelać, aż pan Tomasz przyjedzie, że to niby dla niego... a potem... panicz strzeli, pokaleczy i szkoda. Jemu się kula patrzy.

— Jakżeż to, przecież z Tyrolki można kulą strzelać!

— Ech! rozerwałaby się w proch, takie draństwo.

Władkowi się łzy w oczach zakręciły. Jasiek właściwie nie rozumie się na strzelbach, ale dyplomacja nakazywała milczeć.

— No to cóż będziemy robić?

— Ja sobie tak myślę, że chodźmy na kaczki; wiem ja tu koło potoka, pod górką, jedno miejsce takie, gdzie to dawniej stawki były, tam one co noc zapadają.

Wprawdzie Władek marzył na dzisiaj o jakiejś grubszej zwierzynie, i biegnąc do gajówki, już się widział w myślach, jak wracał do dworu, a za nim Jasiek niesie rogacza, a może i wilka, więc na propozycję Jaśka trochę mu się mina przedłużyła, ale ponieważ kaczka to także zwierzyna, a oponować Jaśkowi nie chciał, więc zgodził się natychmiast na jego plan kampanji.

Poszli przez łąki na przełaj. Słońce chyliło się już ku zachodowi, grzejąc bez pamięci, więc Władek szybko się zmęczył, jako że Tyrolka mało co od niego była mniejsza. Wprawdzie Jasiek ofiarował się, że paniczowi strzelbę poniesie, ale propozycja ta została odparta z oburzeniem. Dźwigał ją więc na przemiany, to na jednem, to na drugiem ramieniu, to znów niósł w rękach przedmiot tyloletnich marzeń.

Doszli wreszcie do małej bagnistej łączki, porośniętej gdzieniegdzie trzcinami i szuwarem, w środku której przebłyskiwała zdaleka srebrzysta tafla maleńkiego jeziorka. Parę łysek znikło z krzykiem w sitowiu, widząc zbliżających się strzelców, czapla uniosła się z przeciwnego brzegu cicho w powietrze, zresztą wszędzie panował przedwieczorny spokój. Jasiek wyszukał kępkę trzciny, skąd doskonały był widok na cały stawek i, usiadłszy obok Władka, począł nabijać strzelbę. Chłopak siedział z bijącem sercem, gdyż wstydził się przyznać, że nie wie, jak się to robi. Tatuś ma do swoich strzelb gotowe ładunki, więc podpatrzeć nie można było...

Jasiek odczepił od torby rożek, nasypał na dłoń „tak do oka“ trochę prochu i sypnąwszy go do lufy, zaczął oglądać się za przybitką—w torbie znalazło się trochę pakuł, więc poszły tą samą drogą co proch.

W czasie tej operacji nie przestawał dawać paniczowi wskazówek.

— Proch lekkuśko puszczać po lufie, a potem pakułami przytłuc i stemplem puknąć ze dwa razy. Jak jego za mocno by przybił, tak on nie zapali się wszystek i siły tej nie ma co należy. Śrut, to już insza sprawa. Teraz trzeba podsypać kapiszon na wierzch i fertig! No, ma panicz gotowe! Teraz tylko nie ruszać się i czekać. Tylko, co ich nie widać. Jak pierwsza przyleci, to broń Boże nie strzelać, aż siądzie. Ja paniczowi już powiem kiedy. A celować trochę pod nią, bo woda myli okrutnie.

Z nabożeństwem wysłuchał Władek tych wszystkich przykazań, które sobie na całe życie w pamięci notował. Tyrolkę ściskał nerwowo w obu dłoniach i patrzył uważnie przed siebie. Nogi ścierpły mu z niewygodnego siedzenia, komary obsiadły mu całą głowę, kark, ręce, ale nie ruszył się ani razu, znosząc wszystkie te męczar-

nie z cierpliwością. Słońce schowało się już za pagórek, gdy w powietrzu rozległ się świst ciągnących kaczek.

— Już idą — zauważył półgłosem Jasiek.

Krew zaczęła Władkowi bić w skroniach, że mało mu głowa nie pękła, a serce waliło jak młotem. Nie była to pora jesiennych ciągów, ledwie parę kaczorów przeciągło nad jeziorkiem i znowu nastała dzwoniąca w uszach cisza. Władkowi już się na płacz zbierało, wtem, tuż koło ucha usłyszał szelest ciągnącej krzyżówki i kaczor z głośnem kwakaniem spadł na jeziorko.

— No, paniczu?...

Władek podniósł strzelbę do oka, ale ręce dygotały mu jak w febrze, a kaczor tańczył na muszce, jak opętany. Zrozpaczony chłopak upuścił strzelbę na kolana, tłumiąc płacz.

— No, paniczu, teraz powolusku pod niego.

Znowu Tyrolka znalazła się na wysokości ramienia Władka — jakoś ręce się mniej trzęsły i wreszcie szczęśliwy jej posiadacz nerwowym ruchem szarpnął za cyngiel.

Strze ba nie zawiodła pokładanego w niej zaufania—huknęło jak z armaty, straszny ból w nosie i ramieniu, i Władek wywrócił się na wznak. Tyrolka wypadła mu z rąk, któremi się złapał za krwawiący nos.

— Poszed... za nisko... buchnęło ze dwa łokcie pod niego... — konstatował Jasiek, patrząc na wodę.

— Jezu drogi, a paniczowi co się stało? Nie mówiłem, że to drańtwo! A trzeba do ramienia dobrze przycisnąć... a tom sobie narobił — narzekał, usiłując zatamować krew, cieknącą ciurkiem z rozbitego nosa.

— Kiedy się wstydzę, że nie trafiłem...—łkał konwulsyjnie Władek.

— Ech, też zmartwienie! Wielmożny pan, jak strzelał zeszłego roku, jak wygarnął do dzika, nie było więcej jak 30 kroków, to kula światami poszła, a dzik na pana, a pan na buka i tak tańcowali obaj koło buka, aż pan starosta przyleciał i dzikowi krzyż kulą przetrącił. Kto paniczu nie pudłuje, ten nie umie strzelać!

Teorja była dla Władka nową, ale pocieszyła go znacznie. Obmacał nos, który przestał jakoś krwawić i zaopatrzony przez Jaśka dwoma nabojami, ruszył do domu, przemyśliwując nad tem, jakby się wykręcić od krzyżowych pytań, które go czekały.

Pułk. Wład. Ścibor-Rylski.

W I L K.

(Dalszy ciąg).

W dawnych „Dzikich polach", a teraźniejszej Chersońszczyźnie, gdzie większą część mego życia spędziłem, słyszałem wiele opowiadań o rozszarpaniu ludzi przez wilki, jednakże raz tylko jeden byłem widzem tego okropnego widowiska. Po nocnej śnieżycy i zadymce silnej, chcąc skorzystać z ponowy, wyszedłem z swym sąsiadem M. na pomyka—na kota. Niedaleko za wsią Martynówką rozeszliśmy się z sobą: ja udałem się w lewo, sąsiad poszedł w prawo, zaintrygowany masą drapieżnych ptaków, kołujących w jarze na skrzyżowaniu dwóch dróg, zbiegających się z sobą. Udało mu się postrzelić orła i pójść za nim w jar głęboki, gdzie postrzałek się opuścił.

Słysząc częste strzały i nawoływania, zwróciłem tam me kroki i uderzył mnie straszny widok. W jarze na znacznej przestrzeni, na udeptanym śniegu, masa krwawych plam, kawałki połamanego kija, strzępy odzienia, dalej oderwana kość ręki, w samym zaś jarze—bezładny szkielet jakiegoś biedaka z wyprutemi wnętrznościami, sterczącemi żebrami i ogryzioną twarzą. Jak ślady świadczyły, staczał on długą widać walkę z 3 wilkami, które znaczną przestrzeń szły obok, zanim go zaatakowały.

W jednej z mych częstych wycieczek w dalsze okolice, stanąłem na noc w miejscowości mało mi znanej wśród głuchego stepu, obok małego lasku, w jarze położonego. Mój długoletni towarzysz, kozak Kimacha, zakrzątał się koło kolacji i samowara, Kirgiz chrupał wonne siano przy wozie, psy pod wózkiem rozciągnęły się, a ja, leżąc na wozie, puściłem wodze mym myślom i zapatrzony w gwieździsty firmament, szukałem w nim mej przewodniej gwiazdy.

Step, mimo nocnej ciszy, żył pełnem życiem i wszystko zdało się tchnąć życiem, miłością. Przepiór namiętnie wabił swą oblubienicę, w trawach świerkały koniki zawzięcie, gdzieś daleko bąkały w kałuży żabki, strepiet w bliskiem sąsiedztwie tokował często, a w niedalekim lasku od czasu do czasu puhacz głośno pokrzykiwał.

W czasie wieczerzy mój koń zaczął strzydz uszami i niecierpliwie kopać ziemię nogami, psy zerwały się i zjeżywszy szerść na grzbiecie, wcisnęły się nam pod nogi. Około północy Kimacha, będący tej nocy na czatach, zbudził mnie lekkiem szarpnięciem. Z lasku, najpierw ciche, przeciągłe, potem głośniejsze odezwało się wycie wilka, kilka razy powtórzone. Jużeśmy oka nie zmrużyli do

rana i jak tylko dzień zajaśniał, udaliśmy się do lasku.

Kimach z psami zagłębił się w zarośla, ja zaś z przeciwnej zaszedłem strony i stanąłem na najwyższem miejscu, by mieć oko na całą okolicę. Po krótkiej chwili posłyszałem głośne okrzyki K.: hu-ha! hu-ha! i równocześnie z przeciwnej odemnie strony wybiegła wilczyca. Puściłem młodego psa za nią, podbiegła i Wisła z Rozbojem, lecz wilczyca nie dała psom się zbliżyć do siebie, a nawet często przystawała i zdradzała chęć powrotu do zarośli. Nie ulękła się nawet huku wystrzału, na vivat danego.

Domyślając się, że w lesie musiała pozostawić potomstwo, przeszukaliśmy pnie i krzaki i pod pniem dębu w głębokiem zagłębieniu znaleźliśmy 8 maleńkich zwierzątek burych, z których parkę wziąłem na wychowanie, o czem niżej wspomnę. K. zaś reszcie poprzecinał ścięgna nóg tylnych, by je zrobić mniej szkodliwymi i jesienią obłowić się ich puszystem futrem. Zwyczaj tej operacji był tam wszędzie praktykowany, nie zabijano szczeniąt z obawy pomszczenia się wilczycy na dobytku okolicznej wioski; mniemano, że wilczyca nie robi szkód w miejscu swego płodzenia.

Nie uszła ona jednak mej ręki. Gdy czabani zauważyli ją wchodzącą raz do naszych lasków i dali mi o niej znać, zarządziłem małą obławę, kazałem ludziom z psami zajść laski z dołu, sam, stanąwszy na przełęczy, łączącej dwie ich części. Czabani przetrząsnęli zarośla, zwierza nie było i już wychodzili na polanę, przedemną będącą, gdy z niewielkiego krzewu psy wypędziły ogromną wilczycę. Otoczona psami, szła prosto na mnie, choć stałem na otwartem miejscu i widzieć mnie musiała. Przypuściłem ją na sztych na 30 kroków i palnąłem jej prosto między ślepia. Zrulowała, jak zając, lecz miała jeszcze tyle siły, że się podniosła i szpetnie ukąsiła najbliższego psa, poczem padła mi pod nogi martwa. Była to największa sztuka, jaką kiedykolwiek zabiłem.

O sprycie i przemyślności wilka opisuje nam Hamilton Duglas i Dżekson w swych podróżach po Indjach. „Polowaliśmy na antylopy—mówi on—gdy zauważyłem w suchem łożysku czających się dwóch wilków, z których, gdy jeden przywarował w parowie, inny chyłkiem, robiąc znaczny łuk okrążył dużą polanę, na której pasły się antylopy, a ukazawszy się z przeciwnej ich stronę na wysokim pagórku, zaczął tam dziwne wyprawiać harce. Biegał w tę lub inną stronę, rzucał się w bok lub skakał do góry, kładł się na ziemię, a gdy zapatrzone stado antylop całą na niego zwróciło uwagę, zaczajony dotąd rabuś wyskoczył z ukrycia i całym pędem puścił się przez wysokie trawy ku stadu; nasze strzelby uratowały biedne zwierzęta, między któremi napastnik zrobiłby okropne jatki.

„Znaleźliśmy raz antylopę — mówi drugi podróżnik—gdy w pościgu za nią przyłączył się do psów wilk, pochwycił zwierzę, a gdy mu je odebrałem, siadł opodal i długie zawodził żale, na zew których zjawił się inny i zdradzały chęć odbicia mi zdobyczy.

Polując na grubego drapieżnika w kraju Tałyszów nad perską granicą w 1904 r., spuszczałem się z mą ekspedycją z gór Karadathu ku dolinie Mugheńskiej. Szliśmy prawym brzegiem Araksu i na jednem z płaskowzgórzy zauważyliśmy stadko dżejranów (antylope subgutturosa), spokojnie pasące się. Pragnąc zdobyć choć jedno z tych pięknych stworzeń, rozdzieliłem mych ludzi na dwie części, z których jedna z 25 ludzi złożona, miała polecone obejść stado z przeciwnej strony i tym ruchem skierować je na naszą linję, rozciągniętą w tyraljerkę. Zanim jednak tatarzy zdołali wyruszyć z otoku, gdy spostrzegłem kilka sztuk wilków w dużych od siebie odstępach, w równej linji biegnących ciężkim kłusem wprost na antylopy.

Wł. Czerniejewski.

(Dok. nast.)

O wyżle i jego układaniu.

Niema chyba w Europie drugiego narodu, któryby tak lubił psy, jak polacy. Od najdawniejszych czasów, każdy szlachcic i chłop, a prawie każdy mieszczanin utrzymywał przy domu jednego lub więcej psów, oczywiście najróżnorodniejszych ras i maści.

Psy dzieliły się na podwórzowe, pasterskie i myśliwskie. Ustalonej granicy między temi podziałami nie było; nieraz jeden pies spełniał kilka funkcyj, w innym wypadku kilka najróżnorodniejszych psów—były używane do jednego zajęcia.

Gdy ziemię naszą pokrywały lasy pełne grubego zwierza, gdy broń przodków naszych stanowił oszczep i kusza, pomocnikami myśliwego mogły być jedynie psy duże, silne, odważne, któreby w ucieczce mogły zwierza przytrzymać, w razie zaś ataku skutecznie pana swego bronić.

Z powiększeniem przestrzeni ornych, z rozmnożeniem się drobniejszego zwierza, przyszła kolej na charty, ulepszenie broni — rozpowszechniło ogary, teraz zaś, gdy lasy prawie zniknęły z naszego kraju, gdy prawo zmusza do szanowa-

nia cudyzych granic gdy wreszcie wprowadzono podatek od chartów i ogarów, ustąpiły one z konieczności, a miejsce ich po wsiach i miasteczkach zajął wyżeł.

Rzeczywiście, rozejrzawszy się po okolicy, nie znajdzie się chyba ani jednego dworu lub folwarczku, w którym by właściciel, dzierżawca lub wreszcie ordynarjusz, ekonom lub gorzelany nie trzymał choć jednego wyżła. Nawet w domach, gdzie niema myśliwego a nawet mężczyzny, widuje się często przed gankiem białego lub żółtego „Nerona", który jest i przyjacielem dzieci, a również pomocnikiem kucharza lub ogrodnika w jego myśliwskich ekskursjach przed imieninami Pani.

Gdybyśmy tak jednak zwieźii w jedno miejsce wszystkie te wyżły z całego bodaj, powiatu i kazali zdolnemu jakiemuś kinologowi rozsegregować je na rasy—ciężką by biedak miał robotę. Nie wiem, czy mógłby z 1% psów zakwalifikować do której zeznanych ras wyżłów; reszta—to osobniki przeróżnych maści i budowy, zlepki najrozmaitszych ras i odmian.

Pomińmy na boku wszelkie faworyty pani i dzieci, oddzielmy psy należące do myśliwych i wyprowadźmy je w pole: przynajmniej połowa nie wróci na wołanie; 90% pogoni zająca do upadłego, a mało który zaaportuje ptaka.

I dlaczego to tak się dzieje? Zapytajmy właścicieli. Odpowiedzą: „Był to ładny szczeniak, myślałem że wyrośnie równie ładny pies, tymczasem wyrósł pokurcz"; albo „Był na nauce, lecz potem w domu nauczył się bigać za koniem i teraz rady dać mu nie można, próbowałem i sam uczyć, lecz nie mam cierpliwości". A w jaki sposób szła ta nauka? Psiak wtedy tylko miał do czynienia ze swym panem, gdy trzeba go było ukarać. „Idź, idź, zobacz co narobił w pokoju ten Twój pies" syczy rozżalony głosik pani domu. Trzeba psa ukarać, inaczej obraza. „Bodaj żeś zmarniał", krzyczy znów szafarka, „a toż co ten pies zjada, toby karmnika przychował, a on jeszcze goni za kurami". Znów obraza, znów trzeba ukarać. Nic więc dziwnego, że gdy wołamy psa do nauki, ten już drży ze strachu. Rzucamy jaki przedmiot i komenderujemy, „aport", oczywiście głosem podniesionym. Pies wtedy w nogi, gdy się to odbywa na dworze, a w okno lub pod łóżko jeśli w pokoju. Co za głupie stworzenie, słychać narzekania. Niczego nauczyć nie można. A czyja to wina? Oczywiście myśliwych. Cyż to trudno o szczeniaka rasowego? Dowiedzieć się w okolicy, kto ma ładne wyżły i poprosić o szczeniaka, lub o wskazówkę, gdzie można dostać.

Wreszcie w każdej okolicy znajdzie się jakiś leśniczy lub amator-hodowca, od którego można za tanie pieniądze kupić ładnego szczeniaka. W ostateczności zostaje wystawa psów w Warszawie, lub ogłoszenia, często spotykane w pismach myśliwskich. Oszczędni ludzie żałują pieniędzy na kupno psiaka, a nie zastanawiają się nad tem, że żywienie roczne psów, choć zdaje się nic nie kosztować, kosztuje o wiele drożej.

A przecież ułożyć psa to tak łatwo. Nie potrzeba do tego ani żadnych zawiłych przyrządów, ani specjalnego poświęcenia się, lub umiejętności. Nie będę tu podawać zasad układania wyżłów, według których powinno się zawsze postępować, gdyż za mało w tej kwestji czytałem i za mało uczęszczałem na konkursy, aby módz sobie wyrobić pewne, niezachwiane zasady, że tak się powinno postępować, a nie inaczej, chciałbym jedynie, szczególniej dla korzyści młodszych myśliwych opisać system, według którego postępuję, który nie jest zapewne doskonały, lecz wygodny dla układającego, a niezbyt przykry dla układanego; dla zachęty zaś dodam, że ułożyłem już tym sposobem około 20 wyżłów nie tylko ja sam, ale i towarzysze na polowaniach lub późniejsi ich nabywcy byli zadowoleni.

H. Rudzki.

(D. c. n.)

POLOWANIE NA KACZKI W DAWNEJ POLSCE.

Polowanie na kaczki w dawnej Polsce posiada tę ciekawą stronę, iż jednoczy w sobie rodzaje myślistwa z przeróżnych epok łowieckich.

Kaczki łowiono na sieci i sidła, będące zabytkiem czasów zamierzchłych, polowano na nie „pod pierzem", t. j. z sokołami, wreszcie poczynano je bić tu i owdzie rusznicą.

Cały sprzęt łowiecki dawnych czasów zużyty został do tych łowów. Widzimy tam i sieć, i lep, i waby i ponęty.

W myślistwie ptaszem dawnej Polski króluje wszechwładnie sieć. Sieć jest również podstawowym sprzętem łowieckim do polowania na kaczki, Siecią łowiono kaczki, gdy wychodziły na rżyska, nęcono je do sieci za pomocą ponęt, złożonych z „jęczmienia napoły z owsem, dla wywiedzenia ptaka z wody, bo owies pływa po wierzchu, a jęczmień utonie"; do ponęt na kaczki używano jeszcze tatarki i słodu.

Znanem było w dawnej Polsce wiosenne polowanie na kaczory, w którem oswojona kaczka odgrywała rolę wabia. Polowanie to nazywano chwytaniem „kaczorów na krąg". Cygański mówi nam o tem w „Myślistwie ptaszem" (1584), co na-

stępuje: „Krąg uczyń, jako wielki talerz równo z wodą, a tam kaczkę uwięź, coby na wodzie nie bywała. Sideł nastawiaj wkoło. Snadno kaczorów dostaniesz na wiosnę".

Jak widzimy, sidła zastępują tu broń palną. Jest to powszechne zjawisko owych czasów, najzupełniej przyjęte i aprobowane przez staropolską etykę łowiecką. Nawet na tokującego głuszca polowano siecią i sidłem.

Polowanie na kaczki było dość lubianą zabawą, skoro nie żałowano nieraz trudu, by zdobyć upragnioną zdobycz. Świadczy o tem fakt kopania i robienia specjalnych stawów w pobliżu wielkich wód, przeznaczonych na łowy kacze.

Autor staropolski tak nam o tem pisze: „Uczyń sadzawkę, osadź ją wierzbiną conajgęściej. Rowy masz poczynić w rogach i osadź je także wierzbiną. Waby chowane wypuszczać na onę sadzawkę, żeby przywodziły ptaki z (wielkich) wód. Gdy je przywiodą, tedy masz świstać, a ptacy pójdą w rowy, dziczki aż w kąt". Dzikie kaczki, kryjąc się w bocznych rowach, dochodzą, według słów autora „aż w kąt", t. j. do końca, gdzie wpadają w umiejętnie zastawione sidła.

Obok sieci ważną rolę w całem myślistwie ptaszem odgrywał dawniej lep. Na lep chwytano i kaczki „na wodach, maczając sznur w lepie, który w wodzie masz mieć na 2 palce wgłąb". Przyrządzanie lepu opisuje nam Cygański: „Nasiecz jemioły klonowej albo brzozowej; nalej wody, tłucz tak długo, aż każdy korzeń będzie goły. Gdy się lep powlecze, tedy wybierz. Idź do wody, wypłócz na rzeszocie. Gdy go wypłóczesz, obwiń na gładką laskę, obwiń nicią mocno i zemknij z tego wszystkiego: nić zostanie z ościami na lasce. Wstaw go na piec na noc, albo na dwie".

Niekompletnym byłby opis łowów w sieci i sidła, gdybyśmy pominęli polowanie na kaczki... z wędką. Na pływającym kręgu umieszczano kamyki. Do każdego z nich przymocowany był sznurek z haczykiem. Na haczyk zakładano kawałki płuc cielęcych lub innego rodzaju mięsa, utrzymującego się na wodzie. Kaczka, połknąwszy mięso, ściągała kamyk z kręgu i zanurzała się w wodę, nie płosząc trzepotem innych ptaków. Krąg taki niektórzy nazywają wątonem.

O polowaniach w sieci mówi nam również Bielawski w „Myśliwcu" (poemat z 1595 r.), który objaśnia. jak można „kilka kaczek ćwiczonych" użyć do wabienia dzikich kaczorów.

Polowanie na kaczki „pod pierzem", t. j. z sokołami, zaczęło u nas wchodzić w powszechną modę już w połowie XV wieku. Krwawe łowy sokole miały swoich przeciwników. Protesty przeciw okrucieństwu sokolnictwa rozlegają się już za Zygmunta Starego. Szlachta jednak uznaje polowanie pod pierzem za łów szlachetny i pogardzać zaczyna polowaniem podstępnem z sidłami i siećmi, z wędką i na lep, jako z przeżytkami dawnych czasów, niegodnemi szlachcica-myśliwego.

O wprawianiu sokołów do tego rodzaju łowów pisze już Cygański: „Zasadź chłopca kiedy w wodzie z kaczką, a tam ptacy spadną i ułowią".

O łowach sokolich na kaczki mówi nam i Bielawski. Kaczki płoszono z błot i jeziorek zapomocą uderzania w bęben. „Sokół i jastrząb i z rączym rarogiem" chwytały je w lot. Poeta mówi:

„Skoro jedno bu-bu-bu w bęben głośno trąci,
aliści wskok ubili kaczoreczków piąci".

Polowanie z siecią było myślistwem ptaszem przeszłości, pole sokole — teraźniejszości, łowy z rusznicą—myślistwem przyszłości. Rusznica odgrywała w myślistwie ptaszem owych czasów trzeciorzędną rolę.

O polowaniu z rusznicą na kaczki poucza nas anonimowy autor „Gospodarstwa strzelczego i myśliwczego" (z r. 1600), radząc „glotem kaczki" bić, gdyż w ten sposób można upolować „nie jedno zaraz, ale dwoje, albo kilkoro z stada", ponieważ „glot z rusznicy na pół staj powinien zabić".

O nabijaniu rusznicy glotem (śrótem) pisze wspomniany Anonim, co następuje: „Proch wsypać, a nań dobrze utłuczony papier, żeby ciasno do prochu doszedł. Na papier glot, który drugim papierem, także dobrze utłuczonym, przytknąć"!

Najlepsza pogoda na „strzelbę" do kaczek (tj. strzelanie) — „dzień jasny, wietrzny, a ciepły".

Myśliwy owych czasów z niedoskonałej rusznicy dokazywać umiał różnych sztuczek.

Umiał np. zabić kaczkę z rusznicy bez zadania rany, „że się jedno gębą pokaże krew". W tym celu sypie się „proch w rurę, papier nań, na papierową zatyczkę żywego srebra pół miary, które swą subtelnością przez skórę wpadłszy, bez rany zabije. Ale tego nie godzi się jeść".

Broni palnej bano się wprawdzie, jak głoszą ówcześni historycy, „jako króla i lwa", zwierzynie jednak nie czyniła zbytniej szkody. Bowiem „nie tak miarne*) strzelanie, jako pracowite staranie, wstanie, a bliskie do ptaka przydybanie, obławia częściej".

I dlatego to, mimo pewnej pogardy dla łowów siecią, są one głównym rodzajem polowania staropolskiego na kaczki, choć harce sokole zyskały powszechne uznanie, a huk rusznic obwieścił po błotach i mokradłach pojawienie się palnej broni myśliwskiej.

Juljan Ejsmond.

---

*) Mierne strzelanie, mierny strzelec — znaczyło pierwotnie: dobre strzelanie, dobry strzelec (od słowa: mierzyć). Dopiero potem słowom tym nadano wprost przeciwne i nielogiczne znaczenie.

Pies myśliwski.

Pies Ś-go. Huberta.

Najdalej w osiągnięciu tych trzech zalet zaszły gończe angielskie, w których płynie stara krew gończych Ś-go Huberta. Były to psy afrykańskiego pochodzenia z domieszką dogów, które dodały im siły. Według podania wyhodować je miał Ś-ty Hubert. zakonnik z VII wieku, Swego znaczenia jednak dosięgły one w wieku X, kiedy znajdujący się w Ardenach klasztor pod wezwaniem Ś-go Huberta zaczął te psy na cześć swego patrona hodować. Gończe Ś-go Huberta były to psy ciężkie, limfatyczne, ale złe i zażarte; były więc doskonałe w swoim czasie na grubego zwierza. Z biegiem czasu jednak stały się mniej cennemi i w końcu zeszły do roli tropowców. Dziś, bardzo jest wątpliwem, czy ta rasa w czystości krwi istnieje, w każdym razie krew psów Ś-go Huberta płynie obecnie w żyłach gończych francuskich, jak również, i to głównie, w psach gończych angielskich, niemieckich i polskich.

Psy gończe angielskie.

Do Anglji psy, służące do polowania par force dostały się przez Normandów w początkach XI wieku. Były to ciężkie, wolno goniące psy, pochodzące od gończych Ś-go Huberta, z domieszką, jak twierdzı August Sztolcman, żółtych bretońskich gryfonów. W górzystych częściach kraju rasa ta okazała się zbyt ciężką, przeto chcąc otrzymać psa lżejszego w typie — przekrzyżowano ją z deerhoundami. Również w tym czasie dostały się Anglji białe gończe królewskie, pochodzące z Francji, które zapewne z domieszką ras lokalnych angielskich dały dwubarwne talboty. Nie są to jednak dane zupełnie pewne, gdyż, jak zapewnia Stoneherge „rysunki, przedstawiające talboty, gończe północne (lekkie) i gończe południowe (cięższe) nie mają żadnych cech podobieństwa do zwierząt, które miały wyobrażać“. Twierdzi on dalej, że „jedno tylko jest pewne, iż przed laty istniała jedna lub więcej ras psów gończych, cięższych i powolniejszych, od tych, jakie obecnie posiadamy. Psy te zatrzymywały się na śladzie, jak gdyby jego zapach sprawiał im wielką przyjemność, przyczym naszczekiwały radośnie przez chwilę. Ciągłe przerwy, połączone z zupełnym brakiem bystrości, czyniły psy te zupełnie niezdolnemi do sforsowania zwierza“. Od psów Ś-go Huberta a raczej chyba od psów normandzkich pochodzą t. zw. tropowce cz. bloodhoundy.

Bloodhoundy.

Nie pochodzą one jednak od psów Ś-go Huberta w prostej linji, gdyż są cięższe, posiadają charakterystyczne zwinięte w trąbkę uszy i w ogólnym typie są podobne do talbotów, co by wskazywało na ich pokrewieństwo z niemi. Ciężka budowa dowodzi według Sztolcmana krzyżówki z angielskiemi dogami (mastiffs). Psy te gończemi w całem tego słowa znaczeniu nie były, głównie ze względu na brak energji. Odznaczały się natomiast silnym węchem, który im pozwalał nie tylko iść za tropem świeżo ranionego zwierza, ale też i po wystygłym śladzie. Niemożność zastosowania ich wobec ciągle rozwijającego się sportu konnego—skazała je na zagładę— i, gdyby nie moda, która uczyniła z bloodhoundów psy pokojowe, napewno do dziś dnia nie byłoby z nich ani śladu. Bloodhoundy posiadają niezmiernie charakterystyczne głowy, za duże w stosunku do całości, pokryte pofałdowaną b. obfitą skórą, z pomiędzy której wyłaniają się małe, głęboko osadzone oczy — żółte lub jasno-brunatne. Uszy winny być długie, nizko osadzone i podwinięte. Maść typowa czarna podpalana, ciemno-ceglasta podpal., lub jednolita buro-żółta.

Naturalnie tego rodzaju psy, jak talboty lub bloodhoundy nie mogły zadowolnić coraz bardziej rosnących wymagań anglików w kierunku szlachetnego sportu polowania par force. To też jednocześnie z rozwojem angielskiego huntera zaczęły się pojawiać rasy gończych przystosowanych w jednym tylko kierunku. W ten sposób powstały foxhoundy (lisogony), staghoundy (jeleniogony), harriery (zajęczarze) i psy wydrowe cz. otterhoundy. Wszystkie te odmiany zostały doprowadzone do doskonałości.

Foxhound.

Foxhoundy są klasycznym przykładem wielkiego genjuszu hodowlanego Anglji, świadomości celu i solidarnej pracy ogółu w jednym kierunku. Historja dzisiejszego foxhounda to jedno staranie o doprowadzenie do maximum szwankującej wytrzymałości i rączości tego zwierzęcia. To też jeszcze 150 lat temu foxhoundy potrzebowały na zgonienie lisa blisko dnia całego, gdy dzisiaj w przeciągu 3 — 4 godzin załatwiają się z nim. Budowa psa tego jest idealnym przystosowaniem do długiego, męczącego i dosyć szybkiego biegu, to też serce foxhounda odznacza się niesłychanym rozwojem, wszystkie zaś mięśnie są, dzięki swemu charakterowi, maximalnej sprawności. Organy służące do oddychania rozwinięte wzorowo, wielka zwięzłość budowy, krótka żelazna noga czynią z psa tego niepokonane pod względem wytrzymałości zwierzę. Nic też dziwnego, że foxhound stał się sprawdzianem wartości angielskiego huntera, który w ślad zanim musiał przebywać ciężkie przeważnie tereny. To też foxhound odegrał niewątpliwie swą rolę w doprowadzeniu do szczytu klasy tego typu koni angielskich.

Foxhound'y wyprodukowali Anglicy z gończych angielskich starego typu, zwiększywszy ich szybkość i lekkość przymieszką charta, zaś krzyżówką z buldogiem wzmogli tak niezbędną do ciężkiej pracy muskulaturę. Prócz tego na domieszkę buldoga wskazuje odwaga foxhoundów i szerokość czaszki dużo większa niż u wszystkich wyżej wspominanych gończych. Dziś psy te są zupełnie ustaloną i zasadniczą rasą. Jak zobaczymy bowiem dalej, krew ich odegrała ważną rolę w powstawaniu nowych cennych ras. Przy ocenie foxhounda największą uwagę zwracać należy na nogi przednie i wogóle części motoryczne. Budowa winna być solidna, szyja dość długa, przystosowana do węszenia dolnym wiatrem, nos długi około 11¼ cm., agenty ruchu sprawne. Z cech drugorzędnych: ogon szablasto wygięty do góry, porośnięty od dołu dłuższym włosem, maść czarna podpalana z białym, biała z czarnym bez podpalania, wreszcie biała w buro-żółte łaty.

(D. c. n.) *Jan Grabowski.*

Ochrona przyrody a prawidłowe łowiectwo.

Przemówienie p. Wł. Janty - Połczyńskiego na ogólnej konferencji w sprawie ochrony przyrody w dniu 22 czerwca r. b. w Poznaniu:

Polski Związek Myśliwych, który mam zaszczyt tutaj reprezentować, dziękując za zaproszenie na dzisiejszą konferencję, bierze żywy udział z najwyższem zainteresowaniem w ruchu, który się ujawnił dążeniem w ojczyźnie naszej ku ochronie przyrody.

Kuratorjum ochrony przyrody w tak na czasie będącej odezwie wspomina przykład St. Zjednoczonych Ameryki, które przez założenie Parku Yellowstone dały pierwszy impuls do zachowania pomników przyrody. Ale czem byłaby wspaniała natura tamtejsza, czem byłyby gejzery bez ochrony zwierza, który park ten zamieszkuje? Odezwa wspomniana Kuratorjum o pomnikach przyrody, jakimi są i zwierzęta, pomija zupełnie. Cóż się stało z naszymi pomnikami przyrody z puszczą Białowieską i Tatrami? W jednej ubito ostatniego żubra, w drugiej wygoniono ostatnią kozicę. Czyż można wystawić te dwa pomniki przyrody bez tych zwierząt? Czyż pamiętający czasy Jagiełłów dąb, czyż limba lub szarotka bez jednoczesnego ożywienia stafażem zwierza może być rzeczywiście pomnikiem natury?

Flora i fauna dają połączone dopiero wykończony obraz piękności przyrody.

Mamy jeszcze wielu, nawet z inteligencji, zwłaszcza z innych dzielnic do nas przybyłych, którzy myślistwo uważają za rodzaj sportu, którego cała właściwość polega na niszczeniu, czyli zabijaniu a więc czynności wręcz przeciwnej zasadzie ochrony przyrody.

Jest to zapatrywanie mylne i wysoko uwłaczające zasadom prawidłowego łowiectwa.

Wszakże myśliwstwo tak, jak ono jest pojmowane na kresach zachodnich, było od lat wielu jedynym pionierem podtrzymania zanikających i zaprowadzania nowych okazów piękna przyrody. Utrzymanie dotychczas króla lasów—jelenia, zaprowadzenie daniela i rajskiego ptaka północy bażanta było dziełem prawidłowego łowiectwa.

Prawidłowe łowiectwo i ochrona przyrody, to są córki jednej matki, siostry, które się w powabach i wdziękach uzupełniają, które dzielą pomiędzy sobą przyjęte obowiązki.

O tem pokrewieństwie, o tych wspólnych interesach łowiectwa z ochroną przyrody, zabierałem kilkakrotnie głos w pismach fachowych jako i dziennikach politycznych, stawiając propozycję stworzenia Izby łowieckiej i ochrony przyrody, a ewent. rozszerzenia istniejącego kuratorjum ochrony przyrody, przez dodanie kilku fachowców myśliwskich na kuratorjum łowiectwa i ochrony przyrody. Te dwie instytucje, jak to wykazałem, nietylko nie mają żadnych celów rozbieżnych, ale przeciwnie ideowe tak wspólne, iż w razie połączenia, zadanie swoje jednocześnie rozszerzą i udoskonalą.

Prawa i kompetencje instytucji takiej należałoby rozszerzyć nietylko na dotychczasowe estetyczne cele przyrody, ale jednocześnie i na ekonomiczne cele łowiectwa, które w równym rzędzie powinna mieć na oku, jako ważny czynnik gospodarczy kraju.

Oto zakres działania, kuratorjum czy też „Izby łowieckiej i ochrony przyrody“.

„Czuwanie nad ochroną przyrody w całym kraju. Czuwanie nad racjonalną gospodarką łowiecką w lasach rządowych i prywatnych łowiskach. Sprowadzenie zwierzyny zagranicznej, ewentualnie założenie własnych zakładów hodowli. Informowanie władz, urzędów i osób prywatnych w sprawach tyczących się łowiectwa. Ustanowienie czasu ochrony dla zwierząt łownych. Udzielanie pozwolenia na założenie i potwierdzenie ustaw wszelkich dla nowopowstających towarzystw myśliwskich. Kontrola nad wszystkiemi tak nowo jak i dawniej utworzonemi towarzystwami. Szerzenie zamiłowania i uświadomienie konieczności ochrony przyrody i zwierząt pożytecznych wśród ludności wiejskiej i miejskiej za pomocą szkoły i rozszerzenia oświaty przez odpowiednie publikacje. Urządzanie wystaw i muzeów“.

W tej myśli życzę pierwszej ogólnej konferencji ochrony przyrody jaknajlepszego powodzenia i owocodajnych uchwał.

Wł. Janta-Połczyński.

SPRAWY BIEŻĄCE.

Na marginesie „Estetyki łowiectwa" Wł. Janty-Połczyńskiego.

Niech mi wolno będzie podziękować publicznie w imieniu myśliwych, wrażliwych na piękno przyrody, za pracę włożoną w „Estetykę łowiectwa", Wielkiemu Łowczemu Wł. Jancie-Połczyńskiemu. Praca ta stała się prawdziwą ozdobą tak salonów i sal myśliwskich, jak i cichych ustroni—leśniczówek.

Tyle czucia i prawdziwego ukochania przyrody i tyle serca oddanego zwierzynie i lasowi przejawia się w tej szczupłej rozmiarami książce, że zrozumieć ją może tylko myśliwy, obdarzony tą samą skalą odczuwań, jaką rozporządza autor.

Dlatego rad jestem, że jako członek byłego Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, zetknąłem się z tym pod każdym względem drogim dla mnie i pełnym smaku estetycznego zbiorem pamiątek.

Prawdziwi myśliwi, ci „przedwojenni", którym zależy na zwierzynie, bardzo wiele skorzystać mogą po przeczytaniu „Estetyki", a i młodzi zapaleńcy „powojenni" ostygną, gdyż hamulcem nałożonym na ich młodą duszę, będzie praca, pełna poświęcenia i oddania się przyrodzie.

Wszak myśliwy nie zawsze wracać powinien obładowany zwierzyną; — „zdobyczą" mogą być dlań krajobrazy widziane i odczute wśród ojczystych łąk, gór, pól i lasów, tak, że z niejednego polowania wróci jako artysta - marzyciel. Tylko piękno w przyrodzie może go zachwycać i uczynić lepszym i wrażliwym, bo, jak czytamy na samym końcu „Estetyki łowiectwa":

— „Natura jest, jak lustro: odbija z serca ludzkiego to tylko, co w niem się przegląda, a kto w niem nic nie widzi, w tego duszy nie odbija się piękno, które daje nam łowiectwo".

Stanisław Haleniak.

Kołomyja, w lipcu 1923.

Przypisek Redakcji:

Szczegółowe omówienie „Estetyki łowiectwa" Wł. Janty-Połczyńskiego zostawiamy na później.

Cenną tę książkę, która winna się znaleźć w ręku każdego myśliwego, dla wygody czytelników sprowadzimy w najbliższej przyszłości do Administracji naszego pisma, gdzie będzie ona do nabycia. Zamówienia na „Estetykę łowiectwa" Wł. Janty-Połczyńskiego przyjmuje Administracja „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego", Warszawa, Szpitalna 12.

Z Brzeskiego Towarzystwa Myśliwskiego.

Dowiadujemy się, że prezesem Towarzystwa Myśliwskiego ma zostać inż. O. Nelard, dyrektor Brzeskiej Poddyrekcji Kolejowej, znakomity myśliwy i autor wspaniałego dzieła o Polesiu p. t. „Polesie ilustrowane".

Polesie, miejsce święte dla każdego z myśliwych, cel pożądań i cel pielgrzymek łowieckich, odgrywa we współczesnym myśliwstwie naszem podstawową rolę. Brzeskie Towarzystwo Myśliwskie ma pierwszorzędne znaczenie śród naszych Kół i Stowarzyszeń łowieckich.

Z przyjemnością więc witamy wiadomość, że prezesurę odpowiedzialnej tej placówki zajmie doskonały myśliwy, organizator oraz pisarz, którego dzieło powinno się znaleźć w każdej myśliwskiej bibljotece.

„Polesiem ilustrowanem" zajmiemy się w następnym numerze naszego pisma, dając recenzję tej niezwykle wartościowej książki.

ROZMAITOŚCI.

Spis fok.

Na mocy umowy, zawartej swego czasu pomiędzy Anglją, Japonją, Rosją i Ameryką w sprawie ochrony fok, tępionych niemiłosiernie dla zdobycia ich futer na wyspach Aleuckich, rząd Stanów Zjednoczonych dokonywa corocznie spisu, oczywiście w przybliżeniu, liczby tych zwierząt istniejących jeszcze.

Spis taki, dokonany w lecie r. z. na wyspach św. Jerzego i św. Pawła, położonych w środku cieśniny Behringa, wykazał, że istniało tam wówczas około 550,000 fok, wyspy te bowiem stanowią rodzaj „parku narodowego", na którego terytorjum nie wolno nikomu polować i strzeżonego przez kanonierki amerykańskie.

Gdyby nie to zarządzenie, to foki stałyby się dzisiaj już taką rzadkością, jak wydry morskie, które zamieszkiwały te same okolice, a dzisiaj są niemal całkowicie wytępione.

Co znaleziono w brzuchu krokodyla.

W londyńskiem Towarzystwie Zoologicznem wygłosił jeden z badaczy środkowej Afryki odczyt o tem, co znalazł w brzuchu pewnego krokodyla, zabitego na brzegu jeziora Tanganajka.

Rzeczywiście ilość i waga znalezionych tam przedmiotów jest zdumiewająca i tak: znaleziono jedenaście ciężkich naramienników miedzianych, trzy naramienniki żelazne, sznur szklanych pereł, czternaście kości rozmaitych zwierząt, trzy ludzkie kręgosłupy, linę długości 4 metrów, ośmnaście różnych wielkości kamieni oraz wiele igieł i szpilek. Prawdopodobnie, między innemi ofiarami musiało to miłe zwierzę zjeść jakiegoś tragarza, wraz z paką którą niósł. Stąd lina, jakiej zwykle używają do obwiązywania swych pak oraz owe igły i szpilki.

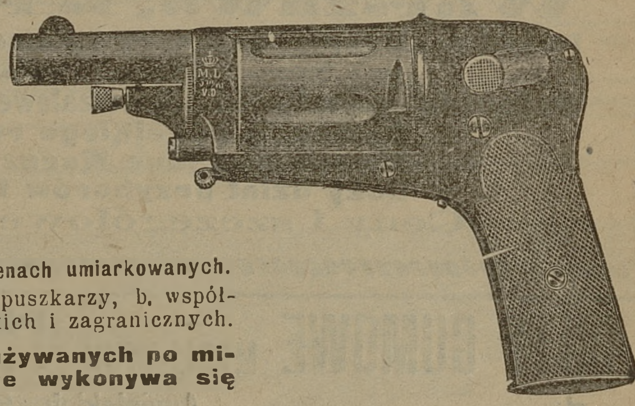
Jeszcze bardziej tajemniczy był ostatni w brzuchu gada znaleziony przedmiot. Był to mianowicie mały woreczek, zawierający 50 złotych funtów szterlingów. Nigdy się zapewne nie dowiemy, kim był nieszczęśliwy posiadacz tego małego skarbu, który wraz z innemi przedmiotami na wieczną rzeczy pamiątkę powędrował do British-Museum.

Na ogólne życzenie nowo przybyłych prenumeratorów Redakcja nasza postanowiła zaradzić wyczerpaniu pierwszych numerów pisma (№ 1 — 7) przez wydanie zbiorowego numeru zawierającego początki artykułów drukowanych w późniejszy ch numerach.

Ponieważ koszty tego są bardzo znaczne, rozpoczniemy druk zbiorowego numeru dopiero po otrzymaniu pewnej ilości zgłoszeń.

Prosimy zgłoszenia owe kierować do administracji pisma, Warszawa, Szpitalna 12.

Redakcja
„Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".



Numer pojed.—**4000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **9000** mk.; kwart. — **27.500** mk. Konto czek. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona — **600.000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk.; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Redakcja i Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.